



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

Zofia Urbanowska.

(c. d.)



Moczary.

Trudno było odmówić słuszności rozumowaniu królewicza i dla tego właśnie, że uznawałem słuszność jego rozpo-

wania, zasmuciłem się. Królewicz patrzył na mnie przez chwilę i rzekł wreszcie:

— Napisz mistrzu do Redakcyi Wieczorów rodzinnych, żeby nam tu przysłała jednego ze swoich młodziutkich czytelników. Niech pożyje czas jakiś na naszej wyspie, a będzie z niego najlepszy korespondent. Odsłonię mu ciekawe tajemnice mego królestwa, a on je swoim rówieśnikom powtórzy. Swoi swojego najlepiej zrozumieją. On od razu uchwyci poziom, jakiego w korespondencji trzymać się trzeba, bo będzie go miał w sobie samym, a ja możebym tego poziomu uchwycić nie potrafił, bo moje chłopięce lata dawno minęły, a moja córeczka ma dopiero trzy lata i umie tylko zrywać kwiaty. Życie ich jeszcze ją nie obchodzi, więc nie potrzebuję jej sam uczyć. Może znajdzie się jaki inteligentny a ubogi chłopczyk, potrzebujący świeżego powietrza, zmiany miejsca, cieplejszego klimatu, dla którego podróż taka i pobyt na wyspie stanie się nawet dobrodziejstwem. Znajdzie tu wszelkie wygody; żeby zaś miał sposobność ciągle być przy mnie, zamianuję go na cały ten czas moim pażem przybocznym. Niech Redakcyja wynajdzie takiego chłopczyka, bo ja nie mogę porzucić spraw państwa i jechać nad Wisłę.

— Wyborna myśl! — zawołałem uradowany — ale zdaniem mojem, zamiast robić kłopot Redakcyi z szukaniem odpowiedniego kandydata, najlepiej będzie ogłosić konkurs.

— Dobrze, niech będzie konkurs. Ach! ale tajemnica! Zapomniałem o niej zupełnie... Chłopiec musi z czasem powrócić do domu, a wtedy tajemnica Atlanty przestanie istnieć!

— O to nie potrzebujesz się obawiać, miłościwy królewicu — odpowiedziałem — naród ten nie jest narodem zdrajców,

Gdy tak rozmawialiśmy, nadeszła z córeczką królewiczowa Jagódka mocno wzruszona i przywitawszy się ze mną, wbrew swemu zwyczajowi, z jakimś gorączkowym pośpiechem, rzuciła się mężowi na szyję.

— Mój drogi — szeptała — mój ukochany, dziękuję ci!

— Za co mi dziękujesz? — zapytał, obejmując ją ktlwie jedną ręką, a drugą przesuwając po jej włosach.

— Za mego chorego. Jakiś ty dobry!

— A — a, dziękujesz mi, że mu posłałem Eucalyptus. Czy mu sprawił przyjemność?

— O, bardzo się ucieszył, ale więcej jeszcze radości sprawiły mu te kwiaty.

— Niezapominajki... doprawdy! I cóż mówił?

— Nic, płakał. Kazał ci podziękować i dał nawzajem naszej Goryczce... Gori, gdzie jesteś? Chodź tu córeczko i pokaz ojcu co ci dał chory cudzoziemiec.

Dziewczynka, która klękawszy na ziemi zajęła się wsadzaniem w piasek pozrywanych na łące kwiatów, urządzając z nich sobie ogródek, podniosła się posłusznie i zdjawszy z szyi ciemny skórzany woreczek zawieszony na stalowym łańcuszku, podała go ojcu. Królewicz rozwiązał rzemyczek i zobaczyliśmy na dnie woreczka kilka szczypt ziemi...

I gdy staliśmy zadumani nad tym szczególnym darem, Jagódka objaśniła.

— Powiedział, że wychodząc z kraju w którym się urodził, niepewny czy do niego wróci, zabrał z sobą woreczek rodzinnej ziemi, trzymając go na piersi, na sercu, żeby mu ono ciągle do niej biło. Jestto jego skarb największy: rozdzielił go na połowę i jedną sobie zostawił, a drugą tobie przysyła, wdzięczny, żeś biedne serce odczuł i zrozumiał.

Łzy błysnęły w oczach dobrego królewicza. Zamknął starannie woreczek i rzekł wzruszony.

— Jagódko, schowaj to do naszego rodzinnego skarbcza. Jest w nim wiele kosztowności, ale ta będzie najcenniejsza, bo w niej zawarta jest niejako dusza człowieka.

Gori która z całej tej sceny to tylko zrozumiała, że wszyscy byli czegoś smutni, a chciała się bawić, bez ceremonii wgramoliła się na moje kolana i patrząc mi w oczy bystro, rzekła tonem nie dopuszczającym oporu:

— Dziadziu Abrakadabra, opowiedz mi bajeczkę!

Ale ojciec sprzeciwił się temu.

— Zejdź córeczko — powiedział — dziadzio nie ma czasu teraz się z tobą bawić.

I zwróciwszy się do żony, opowiedział jej, że obiecałem mu usnąć akacyę i że tylko czekał na jej powrót. Ucieszyła się bardzo Jagódka na tę wiadomość i ujawszy mnie pod rękę, zaprowadziła nieco dalej w głąb ogrodu, gdzie stała *Robinia pseudoacacia*, cała w tej chwili skąpana w promieniach słońca.

Zastaliśmy tam już zgromadzony cały dwór, bo wiadomość że będę usypiał akacyę, posłyszana przez pазia, rozeszła się piorunem. Wszyscy chcieli być świadkami tego ciekawego zjawiska.

Pierzasty liść akacyi *) jak wiadomo, składa się z kilku-

nastu jakby gałązek, z których każda ma do trzydziestu i więcej listków. Wybrałem jeden liść i uderzyłem mocno do dwudziestu razy w końcowe listki palcem. Listki, zaczawszy od tych, które były najbliżej uderzonego miejsca, jęły się stulać jak do snu i powoli, w przeciągu pięciu minut, wszystkie pozamykały się. Dwór patrzył na to ze zdumieniem, królewicz z milczącym podziwem, a królewiczowa przemówiła:

— Gdyby zasnęły to tylko listki, które otrzymały uderzenie, możnaby to sobie wytłomaczyć wstrząśnieniem wewnętrznych listka komórek. Ale jak zrozumieć że i inne na tej samej gałązce listki, w sen zapadły?

— Mnie się to zdaje bardzo jasne — odrzekłem — listki na jednej gałązce stanowią niejako jedną rodzinę wspólnem żyjącą życiem: a jak w kochającej się rodzinie ludzkiej, wszyscy cierpią, gdy jeden z jej członków smutną zostanie dotknięty dołą, tak i listki akacyi odczuwają wrażenia dotyczące jednego. Kto wie, bo dotąd nauka o tem nie mówi, czy całe drzewo wrażenia takiego nie odczuwa, w mniejszej lub większej mierze? Alboż człowiek cierpiący ból w jednym miejscu swego ciała, nie odczuwa go cały? Jak między częściami ciała ludzkiego, tak między częściami rośliny ścisły zachodzi związek. Każda spełnia to do czego jest przeznaczona, a gdy choć jedna tego nie czyni, całe już gospodarstwo roślinne odczuwać to musi.

Podczas gdym wypowiadał myśl moją, Gori trzymająca się ciągle mojej szaty, zaciekawiona tem co widziała i zdziwiona, że wszyscy przypatrują się także ciekawie, spytała.

— Co dziadzio robi?

— Usypia drzewko — odpowiedział królewicz.

— To drzewku chce się spać?

— Nie, ale dziadzio chce żeby spało.

— To dla czego mu nie śpiewa?

I nie czekając odpowiedzi, rzekła do mnie wspaniałomyślnie:

— Ja ci pomogę dziadziu, bo ty pewnie śpiewać nie umiesz.

I zanuciła swoim cienkim głosikiem:

„A — a, kotki dwa,
Szare, bure, obydwaj!”

W tej chwili ostatnie dwa listki zamknęły się, a królewicz rzekł.

— Już śpi... Dziękuję ci mistrzu. Będę tego samego próbował na innych roślinach. Chodźmy teraz na ganek: będziemy mogli ztamtąd wygodnie badać, jak długo potrwa ten sztuczny sen.

A Goryczka posłyszawszy, że drzewko śpi, najpewniejsza że to ona sprawiła, wzięła mnie za rękę, mówiąc tonem przestrogi.

— Kiedy drzewko śpi, to nie trzeba mu przeszkadzać, boby się obudziło! Weź mnie teraz na kolana i powiedz mi bajeczkę.

Rozweselony tą naiwnością, postanowiłem zadość uczynić prośbom dziecka, jak tylko zasiedliśmy na ganku, gdzie też

we, znacznie się od niej różniące. Jakób Waga, nazwał ją Grochodrzewem. Nazwa naukowa *Robinia pseudoakacyi* pochodzi od nazwiska d-r. Robina, który ją sprowadził z Ameryki do Francji.

(Przypisek Red.).

*) *Robinia pseudoacacia* rozpowszechniona w naszych ogrodach, niewłaściwie zwana jest akacyą, bo są inne akacye prawdzi-

wkrótce podano obiad; ale ona jako bardzo serdeczna dziewczynka, prosiła, abym trochę jadł i trochę opowiadał. Sama jednak wolała słuchać niż jeść.

Słodkie to dziecko nazwał królewicz Goryczką, co dziwną z nią całą stanowiło sprzeczność. Goryczki, *Gentiana* są jak wiadomo, roślinami górskimi; zawierają one w korzeniach pierwiastki gorzkie, używane w medycynie. Najwięcej w celach leczniczych poszukiwaną jest goryczka żółta, dochodząca do kilku stóp wysokości i mająca kwiaty skupione w bogate pęki. Ale królewicz przepadał za goryczkami szafirowymi, wyrastającymi przy samej ziemi, prawie bez łodygi, i dla tego zwanych bezłodygowymi. Rozrzucone wśród traw i mchów, mają one blask nieporównany i wyglądają niby błękitne źrętnice jakiegoś dobroczynnego bóstwa. Gwoli upodobaniu ojca, mała następczyni tronu nosiła imię Goryczki. *)

Chociaż akacja obudziła się w trzy godziny po uspianiu, zabawiłem w Różanym gaju do wieczora, bo w żaden sposób wcześniej nie chciało mnie puścić. Żegnając moich gościomych gospodarzy, zapytałem królewicza.

— Jakże będzie z konkursem?

Pomyślał chwilę i odrzekł.

— Jutro mistrzu będziesz miał list odemnie.

Jakoż istotnie dzisiaj z rana paż królewicza przyniósł mi list, który tu w dosłownym przekładzie załączam.

Abrakadabrus.

Królewicz Zielonko do Redakcyi Wieczorów rodzinnych.

Redakcyi Wieczorów rodzinnych pozdrowienie!

Dostojny mistrz Abrakadabrus przedstawił braciom moim i mnie, życzenie Wasze abyśmy przyjęli na siebie obowiązki korespondentów Waszego Pisma, z trzech królestw których jesteśmy władcami. Nie wiem co uczynią moi bracia, ale co do mnie, przykro mi niewymownie, że nie mogę zadość uczynić tak szacownemu wezwaniu; sprawy państwa któremu winien jestem cały mój czas poświęcić, nie pozwalają na to.

Niemniej wdzięczny za zaufanie jakim mnie Redakcyja obdarza, pragnę choć w części spełnić to życzenie, poparte prośbą szlachetnego mistrza. Proponuję przeto, aby Redakcyja przysłała mi tu jednego ze swoich młodych czytelników, w charakterze posła nadzwyczajnego przy moim dworze, posła, którego obowiązkiem będzie zdawać Wieczorom rodzinnym sprawę z tego, co o sprawach wewnętrznych królestwa roślin usłyszy. Kładę jednak warunek, aby wysłanemu nikt nie towarzyszył, to jest aby przybył na wyspę *sam jeden*. Kandydat musi być uważny, bystry, inteligentny, a co najgłówniejsza, musi kochać rośliny. Warunek ten jest nieodzowny. Dla uniknięcia omyłki w wyborze, ogłaszam następujący **KONKURS**:

Opisać kwiat najwięcej sobie ulubiony i objaśnić, dla czego przenosi się go nad inne.

Termin konkursu naznaczam jednomiesięczny, licząc od daty ogłoszenia go w Waszem Piśmie. Prace nadsyłane do Redakcyi Wieczorów, proszę zebrać wszystkie razem i opieczętować. Zjawi się po nie w terminie oznaczonym ten sam

człowiek, który dostawił gołębie z Atlanty. Język atlantyjski nie jest przy pisaniu prac konkursowych wymagany: szlachetny mistrz Abrakadabrus, posłuży mi przy czytaniu za tłumacza. Wiek kandydatów nie może przechodzić lat piętnastu.

Autor najlepszego utworu, w nagrodę odbędzie podróż na wyspę Atlantę kosztem mojej prywatnej szkatuły. Będzie miał tu zapewnione wszelkie wygody i przyjemności: może jeść najpyszniejsze owoce, wachać najwonnejsze kwiaty, sypiać choćby na różach! — i na cały ten czas, zamianowany zostanie moim paziem przybocznym, a to w celu ułatwienia mu dostępu do mojej osoby.

Po przyznaniu głównej nagrody, wszystkie inne rękopisma wraz z nierozpieczętowanymi kopertami, zawierającymi pseudonimy autorów, zwrócone zostaną Redakcyi, która zechce je od siebie nagrodzić, wedle własnego uznania.

Wam i czytelnikom Waszym życzliwy

Zielonko.

Różany gaj,

10-go Kwietnia 1890 roku.

Redakcyja Wieczorów rodzinnych do królewicza Zielonki.

Wasza Królewiczowska Mości.

Tylko dzięki zachęcie szlachetnego mistrza i jego gotowości do pośrednictwa w tej sprawie, ośmieliliśmy się przesłać przez jego usta prośbę do władców trzech królestw przyrody. Gdyby nie on, nigdybyśmy się na to nie odważyli. Powody odmowy wyrażone łaskawie, rozumiemy aż nadto i wdzięczni jesteśmy niewypowiedzianie Waszój Królewiczowskiej Mości, że raczy się mimo to Pismem naszym interesować. Jest to dowód, że opowieści dawne o książętach schodzących z wysokości tronów do prostych śmiertelników, bywają czasem prawdziwe.

Konkurs ogłosimy i składamy dzięki za niego Waszój Królewiczowskiej Mości, w imieniu naszych młodych czytelników, oraz za tak mądrze obmyślony sposób spełnienia dobrego czynu. Jesteśmy pewni że konkurs żywy obudzi między nimi interes, któż bowiem nie zechce ubiegać się o sposobność zwiedzenia dalekiego kraju i poznania szlachetnego monarchy!

Ale Wasza Królewiczowska Mość pozwoli zadać sobie jedno pytanie: Jak mamy postąpić jeżeli pierwsza nagroda przyznana zostanie dziewczynce? Dziewczynki nasze bywają wielkimi miłośniczkami kwiatów, bardzo żywo interesują się ogłaszanymi przez nas konkursami i stają do nich w liczbie znacznie przewyższającej liczbę chłopców. Wasza Królewiczowska Mość zrozumie, że dziewczynka nie może zajmować wielce szacownej posady pazia, ani *sama jedna* i bez opieki starszej kobiety, puszczać się w daleką podróż. Prosimy przeto o wskazówkę.

Waszój Królewiczowskiej Mości oddana i wdzięczna

Redakcyja.

Warszawa dnia 16-go Kwietnia 1890 r.

Królewicz Zielonko do Redakcyi Wieczorów rodzinnych.

Redakcyi Wieczorów rodzinnych pozdrowienie!

Jeżeli nagroda przyznana zostanie dziewczynce, natenczas zamiast nominacyi na pazia, zostanie mianowana damą honorową następczyni tronu, mojej córki, Goryczki — pozostawać będzie pod kierunkiem mój żony, która jako uczennica mądrego Abrakadabrusa, równie dobrze jak ja, a może nawet

*) Pliniusz starszy (bo było dwóch tego imienia za czasów starorzymskich), wywodzi nazwę *Gentiana* od Gencyusza króla ówczesnej Iliryi (dziś część jej należy do Austrii) który kwiatki tej rośliny bardzo lubił. Pliniusz był rzymskim pisarzem. Zginął on w r. 79 po narodzeniu Chrystusa, nie zdążywszy uciec przed wybuchem Wezuwiusza, któremu się przypatrywał jako przyrodnik.

(Przypisek Red.).

lepiej, zna tajemnice królestwa roślin. Co do podróży, królewiczowa obmyśli w jaki sposób odbędzie ją nagrodzona, pod właściwą opieką i z zupełnem bezpieczeństwem.

Wam i czytelnikom Waszym życzliwy

Zielonko.

Różany gaj,

25-go Kwietnia 1890 roku.

WIOSENNA ZIELONOŚĆ.

Już skowronek z dzionka brzaskiem
Wdzięczną piosnką wiosnę wita;
Ozłocona słońca blaskiem,
Pierwsza trawka wraz wykwita.

Czy to wzgórek, czy dolina,
Wszędzie się przyjmuje mile:
Więc też zieleń przypomina
Wiosnę nawet na mogile.

Witold Łaszczyński.



Fonograf.

LIST Z WARSZAWY.

Drogie siostrzyczki moje i wszyscy kochani czytelnicy! Redakcyja nasza tak była zajęta odczytywaniem i sądzeniem wypracowań konkursowych, że na wszystkie moje napomknienia o umieszczeniu listu do was, odpowiadano mi zawsze: „Moja Gołąbko, dajże pokój! teraz o rozstrzygnięciu konkursu myśleć trzeba”. Ale rozstrzygnięto go wreszcie i to z wielkiem zadowoleniem Redakcyi, która więcej niż kiedy cieszy się swoją „rodzinką”, a ja też korzystam z tego, bo wracam do praw swoich i wolno mi już przecie podzielić się z wami wrażeniami ostatnich tygodni. Złe mówię: wrażeniami; właściwie bowiem jedno tylko odniosłam wrażenie, o którym nagać się z wami muszę: zawdzięczam je *fonografowi*. A wiecie wy, moi drodzy, że to istne чудо? Niepozorna niby skrzyneczka, walec, woskowe cylindry, dwie blaszki ze sztyfcikami, ot! i wszystko... ale jak walec zacznie się obracać współ z cylindrami, blaszki drgać, a sztyfciki wosk nacinać, wynika z tego coś, co właśnie cudownem nazwać można: fonograf przenosi do naszego ucha dźwięki mowy lub śpiewu osób o dziesiątki, setki mil oddalonych! jednym słowem utrwała rzecz najniepochwytniejszą — głos ludzki, który dotąd bez śladu rozpływał się w powietrzu.

Zdaje mi się, że z wielkiego zachwyty beładnie trochę opisuję wam ów przyrząd, który w całej Warszawie budził żywe zaciekawienie; spróbuję więc zdobyć się na zimną krew

(o co najtrudniej waszój Gołąbce, zawsze się zapalającej do wielkich rozumu ludzkiego wynalazków) i wytłómaczyć wam budowę fonografu, którego wygląd zewnętrzny poznacie z przyłączonej tu ryciny.

Wynalazcą fonografu jest Edison, znacie już jego nazwisko, bo i w Pisemku naszym czytaliście niedawno jego życiorys. Wychodząc z tej zasady, że każdy dźwięk, a zatem i głos ludzki, wprawia w ruch powietrze, wyrozumował on sobie, że jeżeli przedmiot, o który odbijają się fale powietrza, głosem w ruch wprawione, będzie bardzo delikatny, walec z drgania fal powietrznych *utrwalić* na sobie zdoła i *powtórzyć*. Wziął więc cieniutką blaszkę, zaopatrzył ją w sztyft, a gdy ją głosem wprawił w drganie, sztyft wyżłabiać zaczął nacięcie na wosku odpowiednio przyrządzonym, czyli *utrwał* dźwięki głosowe. Gdy to już dokonaniem zostało, na miejsce ponacinane nastąpił Edison sztyfcik blaszki drugiej, i znowu puścił w ruch, za pomocą małej maszyny elektro-dynamicznej, walec z cylindrem woskowym, a sztyfcik podskakując na wypukłościach, opadając na wgłębieniach nacięć, wprawiał w ruch połączoną z nim blaszkę i pobudzał ją do takichże samych drgań, jakim ulegała pod działaniem głosu blaszka zapisująca, czyli *powtarzała* dźwięki głosowe. Ponieważ blaszka powtarzająca drga tak samo jak i zapisująca, więc i ton, brzmienie głosu powinny być jednakowe, tymczasem nie jest tak. Dźwięki, które fonograf powtarza, są tylko *podobne* do tych, które zostały wydane, ale nie są *takie same*; można na przykład poznać melodyę, którą śpiewa p. Czosnowska lub inny artysta, ale nie można poznać że to głos tej lub owej osoby, a tony wyższe wychodzą daleko czystiej od niższych, co śpiewowi i mowie nadaje pewną nierówność i zmienia ich charakter.

Gdy pomimo powyżej wymienionych wad fonografu, zachwycona pomysłem tego przyrządu, a nawet rezultatami jakie daje, wróciłam do domu z Wystawy i zaczęłam rozwodzić się nad tym wynalazkiem, bądź co bądź, zdumiewajacem, wyrwało mi się: „jabym nawet własnego głosu nie poznała”. Na to Józio, który jako realista obznajomiony jest z wszelkimi kwestyami fizyki, a zatem i akustyki, lepiej od waszój Gołąbki (ach! nie uczona to ptaszyna!) objaśnił mnie, że to rzecz bardzo naturalna, nikt bowiem własnego głosu poznać nie może. Głos — mówił Józio — z ust naszych wychodzący, ma dla *naszych* uszu dźwięk zupełnie inny, niż ten, którym się o uszy *śluchających* obija. Nie przeczę temu, co Józio za profesorem swoim powtarza, sądzę jednak, że głos Mierzwinskiego, takim zachwytem przejmujący słuchaczy, i jemu samemu miły być musi?

Ach! gdyby on kiedy zaśpiewał na... kolonie letnie, naprzykład! Wyobrażam sobie, jakby to ludzie śpieszyli go słuchać, jakby sygnęli groszem, który tyłu wynędziałym, duszącym się w miejskich murach dzieciom, pozwoliły odetchnąć świeżem powietrzem i siłą nabrać trochę pod tem niebem, tak wczesnie w tym roku złotem od słońca, że nawet i u nas przez tunau dymów i kurzu, świeci na głowami prześlicznie.

Żebyście wy wiedzieli, ile to biednych, zapłakanych nieraz matek przychodzi do nas z prośbą, by dzieciom ich do wyjazdu dopomóc, zapytaniem, czy więcej w tym roku dzieci pojedzie! Ach! pojechałyby one wszystkie, te wybladłe biedactwa z suterien i ciasnych zaułków, gdyby to od nas zależało! ale zwiększenie liczby jadących zależy od ofiarności ogółu i dla tego, znając pocziwe wasze serduszka, poruszyłam tę kwestyę w liście do *Was*. Więcej nic już nie powiem... „Mądrzej głowie dość na słowie”, a pocziwym sercem czasem i pół słówka wystarcza. Mój Boże! jak pomyślę, że tyle dzieci rodziców zamożnych, (a nawet i nie zamożnych, ale troskliwych o przyjemność dzieci) przygląda się widowisku „Dziękuję Ameryki” na Mokotowskim polu, to aż mnie gniew i zazdrość bierze, że stosunkowo tak mało dzieci może się przyglądać stołkoć piękniejszemu widowisku kwietnych łąk naszych i pół „wyzawianych pszenicą, wysrebrzanych żytem”!

Wiem, że wy, szczególnieji na prowincyi mieszkający, ciekawicie wiedzieć, czy to istotnie coś bardzo zajmującego, ci przybysze z Ameryki, na wymarcie skazane plemię? Otóż tak jest w istocie, ale powiem wam że na mnie najpierw ludzie



pokazujący się za pieniądze, zawsze przykre czynią wrażenie, a potem żal mi tego nieszczęsnego plemienia, bo staje mi zaraz w myśli okrutne z nim obchodzenie się cywilizatorów europejskich, więc jakkolwiek ci ludzie zarówno powierzchownością jak twarzą różnią się od nas i przeto ochota bierze im się przyjrzeć, wolałabym ich nie widzieć... Dodać też trzeba że

obrazy z życia amerykańskiego w stepach jakie przedstawiają, pewno różnią się bardzo od tego co na miejscu widzieć można... Aby wam dać o tem niejaki wyobrażenie, redakcja daje wam rycinę przedstawiającą te dziw. Widzicie tu taniec dzikich w ich narodowych strojach, dalej napad na podróżnych w dylżansie, ściganie dzikiego bawołu, łapanie koni na lasso,

ujeżdżanie dzikich żrebców i t. p. Dowódzca tych dzikich Amerykanin doktor Karwer, popisuje się przytem rzeczywiście znakomitem strzelaniem z pistoletu, raz poraz bowiem rozbija kule szklane rzucone przed nim w powietrze... Ale na to wszystko zabawniej patrzeć aniżeli czytać opisy, więc mój już skrócę ściskając was po milion razy jako całem sercem wam oddana

Gołąbka.

Korespondencya Wieczorów Rodziunych.

Z WIEDNIA.

6-go Maja

Droga Gołąbko! Czy pamiętasz mię jeszcze? Tak dawno się nie odzywałam, że zasługuję na zapomnienie. Ale czyż nie wart przebaczenia pokutujący grzesznik? Widzisz śmiała nie jestem, nie mam odwagi wprost do redakcyi po tak długiej przerwie się odzywać. Postanowiłam uczynić to za twem pośrednictwem, ty jako rówieśnica moja i ulubienica redakcyi, potrafisz się wstawić za mną i uzyskać przebaczenie. Zobaczysz, że się za to odwzięczę: zasypię cię listami. Ty przecie lubisz otrzymywać listy (och i ja także).

To pierwsza przyczyna mój odezwy do ciebie. Druga zaś taka: Wiadomości z Warszawy, których jesteś autorką, tak są ciekawe i zajmujące, że nie mogę się oprzeć chęci podziękowania ci za nie. W myśli, zwiedzałam wraz z tobą wystawę, cieszyłam się postępami szkół, jednym słowem byłam na chwilę mieszkanką Warszawy, jak dawniej. Chcę ci wzamian za doznana przyjemność to i owo z wiedeńskiego ruchu donieść, oby cię choć setną część tak zajęło, jak mię twe opisy.

U nas po zimie, pełnej najdziwniejszych kaprysów, nastąpiła wiosna, iście według przepisów kalendarza. Najpiękniejsza to w Wiedniu pora, ciepło, świeżo; kurz nie daje się jeszcze we znaki, wiatry już minęły. Kosy po ogrodach świdzą; na łąkach Prateru kwitną fiołki, ofiary polujących na nie spacerowiczów, dzwonki śnieżne. śnieżycę i błękitne gwiazdki cebulicy dwulistnej, których pęki całe braciszko wie moi z ostatniej swój wycieczki do domu przynieśli. Na wiosnę koloryt Wiednia dziwnie upiękaszony. Drzewa na Ringach zielone, powietrze tak czyste, niebo tak cudnie błękitne, że nigdy bardziej dokładnie nie rysują się na tle jego poważne kształty parlamentu, lub wysoko w górę strzelające wieże Votivkirche. A nowy gmach teatru jakże olśniewająco błyszczy fasadą, bogato w rzeźby przybraną!

W ogóle trzy te arcydzieła architektury najbardziej mię zachwycają z pomiędzy wszystkich monumentalnych gmachów, stanowiących dumę nowożytnego Wiednia. Każde z nich w odmiennym stylu, każde w swym rodzaju znakomite. Parlament o klasycznych liniach, o portyku, odpowiadającym wszelkim sztuki wymaganiom, owo państwo wolnego słowa, czyż mogło się przybrać w stosowniejszą szatę, jak tę, którą późniejszym wiekiem dyktowali Hellenowie, wolni obywatele?

Votivkirche, smukłemi wieżami ku niebu wzbijający się kościół Zbawiciela, to kwiat średniowiecznej gotyki, będącej wyrazem żarliwej pobożności epoki przedreformacyjnej. Jak misternie łączą się i płaczą delikatne tkanki łuków! Jak malowniczo rysują się na tle nieba filigranowe arabeski! Wierzyć się prawie nie chce, że ręka nowożytnego mistrza stworzyła ów pomnik architektury kościelnej wieków średnich; oko mimowoli szuka kilkusetletniej pleśni na płaskorzeźbach drzwi wchodowych i dziwi się świeżości kolorów na artystycznie malowanych oknach.

Trzeci gmach nakoniec, dworski teatr Burgu, to przedstawiciel renesansu, szlachetnego a pełnego wdzięku stylu Michała. Najłatwiej dają się doń przystosować owoce postępu sztuki nowożytnej i nowożytne wymagania; toż szeroko rozpostarte, we wzniosłym tonie trzymane kształty, przybrane są w cały legion ozdób plastycznych i malarskich, biustów, płaskorzeźb, złocen, fresków portretów. Miejscami ornamen-

tyka ta nadto bogata, ale tak pełna uroku, że nigdzie nie unży. Prawdziwy przybytek sztuki dramatycznej, kreślony w zarysach odrodzenia sztuk pięknych.

Trzy te opisane gmachy stanowią w połączeniu z nowymi muzeami, nowym ratuszem i nowym uniwersytetem, najpiękniejszy łuk wiedeńskiego Ringu; one to postawiły stolicę Austrii, dumną aż dotąd tylko ze swych wiekowych murów, w rzędzie pierwszych nowożytnych rezydencyj europejskich. A zarówno jak harmonijnie w całość się łączą monumentalne budowle różnych stylów i przeznaczeń, tak w jeden nierozłączny szereg niezapomnianych imion, grupują się przedstawiciele owych rozmaitych kierunków: Hansen, Ferstel, Semper Hasenauer, Schmidt. Wszyscy oni się zasłużyli, każdy z nich jest wskrzesicielem epoki.

Jakże architektoniczna treść mego listu, czy gniewasz się za nią, Gołąbko? Może nie, bo jako ptaszek gniewać się pewno nie umiesz, a potem, będąc gołębicą wypadnie ci może kiedy przez Wiedeń frunąć tam na południe, gdzie wśród lagun na placu św. Marka siostrzyczki twoje o minionej świetności dołów gruchają. Toż gdy w przelocie nad Dunajem spocznieś wśród labiryntu arabesk wotywnego kościoła, lub na jednej z kwadryg parlamentu, już ci się one obcemi nie wydadzą. Przypomnisz sobie wówczas co ci o nich daleka święgotała Jaskółka, która takby chętnie nad brzegi Wisły poleciała, aby wam wszystkim wiosnę zwiastować. Może już w chwili, gdy to czytasz, u okna jaskółka skrzydłem trzepocze... Otwieraj że szybko; kto wie, gdy jaskółka wleci, czasem się może w rówieśnicę twoją przemieni... Jaskółek zrażać nie trzeba, Kochaj więc i wspominaj daleką... może bliską

Jaskółkę z nad Dunaju.

POD WPLYWEM BŁOGOSŁAWIEŃSTWA.

(Dalszy ciąg).

— Niedawno; zaś co porabiają, to już ty sam najlepiej możesz wiedzieć. Cieszą się oczywiście, oczekując na przyjazd uzonego jedynaka, co zajędzie prosto przed starą czaręgę w cztery co najmniej konie, paląc z bicia jak z armaty, przywołując mnogość pieniędzy i w dodatku wielkie zaszczyty, a kto wie może żonę królową... Dopieroż to tam będzie radosne powitanie, gdy się tak ślicznie ziszczą ich dumne pragnienia! Ho ho, pośpieszaj synku, bo pewno po uściski i błogosławieństwo jedziesz! Hi hi hi!

Podczas téj krótkiej przemowy, Szandor słuchając uważnie, bladł i czerwienił się na ukryte w niej szydercze drwinki, jednak w końcu roześmiał się, na wspomnienie strachów, jakich napędzało mu dawniej zjawienie się téj samej Marchy.

— Idź sobie swoją drogą ty czerwone złośliwe licho — rzekł ze śmiechem — moi rodzice bardzo dobrze wiedzą czego mają się po mnie spodziewać, bo sami przecież utrzymywali mię w szkole przez rok miniony...

— Oho, już to pewno matka nie ojciec! — rzekła drwiąco cyganka.

— Co tobie do tego! Idź precz! — zniecierpliwiony odparł.

— Hi hi hi!... zgadłam widać, kiedy się gniewasz!

— Czego chcesz odemnie! Pójdiesz ty precz! — zakrzyknął rozgniewany, zamierzając się aby ją odpedzić...

Czarne oczy cyganki rozgorzały nagle żółtym ogniem, jak oczy dzikiego kota:

— Oho! — zawołała zasłaniając się — tylko ręki na mnie nie podnoś! Szczęście z wami dawniej było, a teraz dziesięć lat już pokutujecie, że to że twój ojciec rękę na mnie podniósł! Strzeż się!

— Nędzna cyganko! zły duchu mojej młodości! — zawołał Szandor w uniesieniu zapominając się i chwytając ją za

ramiona. — Jadłś chleb moich rodziców i piłś wino nasze ilekroć zgłodniałś spodobalo ci się przyjść do nas i za to złorzeczysz nam jeszcze!... Mógłbym cię zdeptać jak złosiwego robaka, a przynajmniej zbić na leśne jabłko, a jeżeli tego nie zrobię, to wcale nie ze strachu przed twemi groźbami, tylko dla tego że chrześcianinem jestem! Znaj chrześcianina cygańska gadzino i precz mi z oczu, żebym mimowoli o tem nie zapomniał!

To powiedziawszy Szandor odepchnął cygankę i poszedł dalej.

Wkrótce, przyspieszone uderzenia serca dały mu znać że zbliża się do rodzinnej chaty, i tegoż dnia jeszcze, ujrawszy zdaleka matkę w progu stojącą, zaczął biedz pędem, ile sił starczyło i padłszy przed nią na kolana, ucałował jej nogi, a potem rzucił się na szyję.

— A ty tu zkąd? synku mój złoty, szczęście moje, a jakże ze szkołą?... — spytała, nieledwie dusząc go uściskami i łzami oblewając, zawsze więcej zajęta jego dobrem, niż własną z widzenia go rozkoszą. — Jak idą nauki? bo ojciec żąda koniecznie abyś je ukończył?...

— Ukończyłem też chlubnie szóstą klasę, matusiu droga, przeszedłem kurs retoryki i poezji, uczyłem się szczerze bo kocham naukę, a teraz przychodzę upaść do nóg ojcu, bo mi serce bez was i pusztę usycha!

— Kurs retoryki i poezji?... czy to tego potrzeba aby zostać adwokatem lub inżynierem?... — spytał niespodzianie głosem, na który syn i matka ściskający się, zadrżeli oboje. Szandor wstrząsł się cały:

— Ojciec... podobno już przecie nie wymagał koniecznie inżynierii i advokatury — wyjąkał odnosząc te słowa do przeszlorocznego listu matki, stanowiącej pomiędzy ojcem i synem rodzaj łącznika, tłumacza, i pośrednika jednocześnie.

— To prawda; niechajbyś został z czasem chociaż naczelnikiem okręgu: czy tak pisała matka?

— Tak.

— A więc kurs retoryki i poezji wystarczy na to aby zostać naczelnikiem okręgu.

Szlachetny chłopiec nie mógł skłamać.

— Nie ojcie — odpowiedział. — Retoryka i poezja nie ma nic wspólnego z prawem, ale usposabia do zawodu literata, pisarza, do czego ja jedynie mam zdolność i upodobanie, jeżeli już tem czem ty jesteś być nie mogę, więc błagam cię ojciec...

— Co! — wybuchnął gniewnie ojciec — po tylu nieposłuszeństwach jeszcze raz mię zawiodłeś? Chcesz ginąć i nie pozwalasz się ratować? Ha, kiedy tak chcesz, to gińże, precz mi z oczu! ja nie mam syna, ja cię... — nie domówił reszty, bo z dzikim okrzykiem rozpaczyci rzuciła się ku niemu żona, ręką zatłumiając mu słowa. Stary Węgier stał chwilę jakby w słup zamieniony potęgą własnego gniewu, a potem zachwiał się i jak dąb podcięty, runął na ziemię.

Szandora tam nie było: zaledwo już widzialny pędził w pusztę ściskając głowę oburącz, uciekając przed złem słowem ojcowskiem, tak jak Kain przed gniewem Boskim uciekał, napróżno. Słowo niedomówione pędziło, leciało wraz z nim w nim i ponad nim, jak sęp krwiożerczy, szumiąc mu nad głową czarnemi skrzydłami.

* * *

Gdy czarna noc, która zapadła na duszę nieszczęsnego chłopca rozjaśniać się zwolna zaczęła, słońce wspaniale płonęło na najwyższym szczycie dziwniej swęj potęgi. Szandor leżał bezwładnie wśród stepu ze świadomością wszakże tego co zaszło, usiłując przekonać siebie samego:

— Nie domówił!...

— No nie, nie, a kiedy nie, to niemasz czego żalościć się tak zabijając — ozwał się za nim głos, aż nadto dobrze znany. Chłopiec porwał się, upadł i znowu siłąc się, usiadł nareszcie, rozglądając dokoła. O trzy kroki za nim siedziała cyganka.

Ujrawszy poczuł nagle gniew srogi, chciał się zerwać i rzucić na tę nienawistną istotę, pojawieniem swem zapowia-

dającą mu jak puszczyk nieszczęście, ale za pierwszym poruszeniem jęknął tylko i upadł znowu na ziemię, bezsilny. Cyganka zaczęła mówić mu:

— A widzisz co się stało? Ostrzegałam, nie podnoś ręki! To nie ja się mszczę, to duchy mszczą zniewagę każdą mnie zadaną! Duchy! Ja wam nie złorzeczę wcale za to żeście mię karmili i poili. Powiem ci czego nikomu tu nie powiadam, bo z ciebie uczony i mądry, a o wielkich rzeczach z byle kim rozmawiać się nie godzi, powiem ci dla czego duchy się mszczą. Czy wiesz gdzie święta rzeka Ganges płynie? Czy wiesz że w owęj słonecznej krainie przed wiekami, orężem sławę swą roznosił wielki zdobywca, król Rama? To dobrze! Wieszże jeszcze, że jam jest wielkiego Ramy potomkiem! We mnie krew Ramy płynie i przeto duchy praojców, może duch Ramy samego nie przepuszcza bezkarnie zniewagi mnie wyrażdzonej! Rozumiesz teraz?

Cyganka w łachman purpurowy swój owinięta, biła się czarnemi pięściami w pierś zapadłą, powtarzając uporczywie:

— We mnie we mnie!... krew wielkiego zdobywcy, wielkiego Ramy! Króla wszystkich krain słonecznych nad Gangesem, nad Indem, i wyspy Jawy, i wyspy Ceylon i wszystkich krain słonecznych, wszystkich!

Szandor ani się zdziwił, ani zaprzeczać myślał. Znał on lepiej niż kto inny, dziwny ten lud płaczący się po całym prawie świecie, a wśród Węgrów gęściej niż gdzieindziej. Wiedział że istnieją u cyganów niezmiennie starożytnie i dokładne, acz cząstkowe tylko tradycje. Marcha mogła sobie bardzo dobrze być w prostej linii córą wielkiego Ramy, potomkiem królów indyjskich, ale cóż to obchodziło nieszczęśliwego chłopca, wygnanego z ojcowskiej chaty, i z ojcowskiego serca co gorzej. Wzruszył ramionami:

— To dobrze — rzekł. — I owszem, wolę że się omyliłem, że ty nie złorzeczysz nam. Zatem i ja zawsze już tylko przychylnie mieć będę dla ciebie słowo, i przepraszam jeżeli trochę zbyt żywo potrząśłem tobą wczoraj. A teraz idź sobie już odemnie i zostaw mię samego.

— Dobrze, tylko wprzód wypij-no to co tu zgutowałam w garneczku... no, no, nie wzdragaj się. Widzisz że nie mam gniewu do ciebie. A tu oto masz pisanie od twojej matki...

— Matki!... — jęknął chłopiec, mimo osłabienia rzucił się na ową kartkę jak głodny rzuca się na chleb, spragniony na wodę...

„Moje ty nieszczęśliwe jedyne dziecko — pisała matka — byłabym ja pogoniła za tobą, choćby niewiedzieć co potem stać się miało... ale ojciec twój w tejże chwili gdyś ty uciekał padł jak martwy na ziemię. Myślałam już że serce mu pękło. Kocha on ciebie, oj kocha, tak jak i ja, tylko przytem rozumny jest, a ty nie chcesz przez świat iść wedle ojca rozumu, lecz wedle swego własnego, i wtem nieszczęście. Gdy odratowałam ojca na tyle że oczy otworzył, ciebie już wcale nie było widać w polu, a Marcha przyszła, więc ją za tobą posyłam na ratunek; jak na to, nikogo więcej w domu niema. Jak tylko parobcy przyjdą, porozsyłam zaraz po znajomych czikoszach pieniędzy trochę jakie mam dla ciebie, znajdziesz je tam; przez cyganów by nie doszły. Co ty teraz poczniesz ze sobą? nieszczęśliwe ty szczęście moje! Niech cię Bóg ma w swęj opiece”.

Szandor nigdy się nie dowiedział jak długo czytał i odczytywał tę kartkę i płakał siedząc z nią w ręku na ziemi.

— No, trzeba to wypić... — powiedziała Marcha przykładając mu do ust garneczek nadtłuczony.

— Czego chcesz? Wszak już piłem?

— Piłeś dawno; trzeba znowu.

— Dawno? — Szandor obejrzał się po świecie: gdy wprzód tak spoglądał, słońce było u szczytu swęj drogi, a teraz wschodziło zaledwie. Tymczasem cyganka nawpół siłą jakiejś trudnoby się w nięj domyślać, a bardzo zręcznie, zmusiła go do wypicia odwaru. Smak był gorzki, ale wstrząśnienie przypominające niby iskrę elektryczną przebiegło natychmiast prawie cały organizm młodego chłopca. Siedział jeszcze chwilę, zbierając myśli rozpierzchłe, potem nagle jakby pod działaniem tajemniczęj siły jakiejś, wstał.

— Dosyć tego! — rzekł głośno; zarzucił płaszcz na ramiona i ruszył gdzie oczy poniosą, prosto przed siebie, z początku chwiejnym, im dalej tem pewniejszym krokiem.

— Hm hm... ma proszek ze dwa wieki, a siła jaka w nim była, gdy go pra pra babka w krainie słońca, z korzenia lotusu przyrządzała, tak dziś jest!... Idzie!... coraz lepiej idzie... — mrucała indyjska królowa: siedziała na worku swoim wypchanym rupieciami i zastępującym na ten raz bardzo dobrze tron; siedziała w postawie jaką widzieć można u najstarożytniejszych rzeźb i posągów indyjskich i egipskich, wyprostowana, z głową lekko wzniesioną, łokciami przyciśniętymi do bioder, patrząc z dumą za niknącym w oddali chorym chłopcem, któremu tajemnicza siła jęć leków, wracała życie.

— Tak! Niechaj wiedzą że córka wielkiego Ramy nie darmo jadła ich chleb i piła ich wino!

* * *

Szandor szedł, szedł dniem i nocą prawie bezmyślnie, ale instynktowo omijając znajome siedziby; do' nieznanym wchodził nieraz, zapraszany wszędzie wedle zwyczaju gościnnych puszt mieszkańców, którzy za ujmę mieliby sobie przyjąć od pieszego podróżnego zapłatę, a tem bardziej jęć-żądać. Sztucznie tajemniczym lekiem wzbudzone i podtrzymane siły, gasły jednakże z czasu ubiegim, wpół błędny skutkiem ogarniającej go znowu niemocy, dowlókl się do bram jakiegoś miasta:

— To Dobreczyn! — opowiedziano mu na wstępie. Ach, wszak w Dobreczynie to podobno mieszka Wojciech Pack, dawny towarzysz szkolny z Szopronia...

Tegoż dnia wieczorem, młody profesor Wojciech Pack wracał do domu, dźwigając stos książek pod pachą i pogwizdując wesoło:

— Co to? Kto to? — zapytał potknąwszy się o coś u drzwi:

— To ja... proszę, każ mię pochować jak umrę... czikosz gdy się dowiedzą, zaraz zwrócą ci koszt... przebaczem tu przybył... — wyjąkał z trudnością na wpół niezrozumiały głos w ciemności. Pack szybko zatlił zapałkę, bo zdało mu się że bądzobądz głos ten nieznanym mu nie jest. Spojrzawszy przy tem słabem światełku w twarz wynędzniałą; poznał z niejaką trudnością dawnego kolegę. Przestał pogwizdywać, złożył książki na boku, wyjął z głębi kieszeni klucz od mieszkania, i wzięwszy Szandora jak dziecko na ręce, poniosł go na górę i złożył na własnym łóżku.

Dwa dni minęło od owęj chwili, młody lekarz kolega leczył Szandora, młody profesor kolega ujął sobie trzy godziny snu na dobę ku załatwieniu koniecznej luki, w budzecie którego równowaga nadwyreżoną została przybyciem lokatora. Przyszli im w pomoc jeszcze aktorzy dobreczyńscy ci sami wśród których Szandor odgrywał czas jakiś role duchów. Pomoc to była nie wielka bo artyści nie mieli znacznych funduszów ale zawsze przy nię Szandor powoli do sił przychodził, gdy się zaś miał znacznie lepiej, zaczął naprawdę pracować w literackim zawodzie.

Zbierał najpierw rozpierzchnie swe piosenki, ukazujące się oddawna w Peszcie w Atheneum i innych pismach. Niejedno teraz przypominał sobie i spisywał z pamięci, ale wiele rzeczy i to niemylnie najlepszych przepadło, gdyż tułając się po rodzinnym stepie, zwykł był zawsze prawie śpiewać idąc, jak śpiewa skowronek ulatujący ku niebu. Umiął już dobrze po niemiecku, więc oddawna czytywał i teraz czytał Goethego i Schillera, ale nie znał wcale języka francuzkiego

i teraz zabrał się na raz gwałtownie do tęg nauki. Najtańszą jaka istniała podobiznę Voeroesmartego, węgierskiego poety zawiesił na ścianie izdebki.

(d. c. n.)

SZARADA.

ułożyła Ewa Marya.

Kędyż są owi co w Genezarecie
Wiązali niewód rano w *pierwsze, trzecie?*
Z łodzi, prującej odnety jeziora,
Za swym sternikiem, już w cieniach wieczora,
Dobrzy rybacy, wierni prostaczkowie
Uszli po wielkim dusz ludzkich połowie;
Dziś z jasną siecią i blaskiem u skroni
Płyną spokojnie po niebieskiej toni
I zanurzają cudowne wężowce,
Patrząc ile się serc, myśli zabierze.

Tu zaś, nad wałów morskich szumem, *cała*
Pochodnią wiecznej strażnicy nam pała,
Rozwidnia głębie, pośród burzy wycia
Okręt miotany strzegąc od rozbicia.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

2I wyrazów. Początkowe i końcowe litery czytane z góry na dół, złożą dla kogo i od kogo jest ułożoną: Sylaby: Mar—land—kos—Ró—czyc—Nor—Ur—tów—fr—zy—Drez—~~pol~~—Augs—E—ma—Zi—mi—Ar—ja—Ros—ni—Czi—ro—mo—Kuc—wie—den—ku—De—An—~~o~~—no—Nga—buz—Oe—ny—O—Don—dek—tysz—za—ra—burg—ZŁ—sy—no. Znaczenie wyrazów: 1. Miasto w Saksonii. 2. Imię męskie. 3. Pisarz polski. 4. Starożytne miasto w Sycylii. 5. Miasto w Niemczech. 6. Królowa kwiatów. 7. Nazwa miejsca rozkosznego. 8. Starożytny naród. 9. Gatunek konia. 10. Rzeka w Syberii. 11. Ptak. 12. Jezioro w Afryce. 13. Owoc. 14. Rzeka w Rosyi. 15. Imię żeńskie. 16. Wyspa na morzu Bałtyckim. 17. Miasto nad Donem. 18. Zaimek osobowy liczby mnogiej. 19. Pasterz koni węgierski. 20. Dwie spółgłoski. 21. Naczynia starożytne.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 20 go

Łamigłówni zgłoskowej:

MareK—IkaR—ChaldeA—KodekS—JudasZ—EglE—WrocłaW—IbiS—CzerwonaK—Zwłoki.

Mickiewicz — Kraszewski.

Piąty zeszyt tomu I-go **Wielkiej Encyklopedyi Powszechnej ilustrowanej** wyszedł z druku. Wyszedł również 5-ty zeszyt **Kolorowanych tablic poglądowych do nauki o rzeczach**, wydawanych pod kierunkiem A. Dygasińskiego, nakładem A. J. Wiśniakowskiego.

SPROSTOWANIE.

N-r 20-ty str. 160 ostatni wiersz powinno być *Minho* nie Mincho.

TREŚĆ: Z wyspy Atlanty, p. Zofię Urbanowską. — Wiosenna zieloność, wiersz Witolda Łaszczyńskiego. — List z Warszawy (z drzew.) — Korespondencya Wieczorów z Wiednia Jaskółki z nad Dunaju. — Pod wpływem błogosławieństwa (c. d.) — Łamigłówni i rozwiązania. **Dodatek:** Podróż młodych Szczuroskich (z drzew.) — Przygoda złośliwego Antosia, wiersz p. Gabryele Jasieńską. — Przygoda w podróży. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.

Podróż młodych Szczuroskich.

(Dokończenie).

Uczucie głodu przywołało ich do rzeczywistości. Niestety nie było na to żadnej rady; nawet statku, na którym płynęli, chcieli jąć się z głodu, ale drzewo nie dawało pożywienia, grożąc w dodatku zatonięciem, w razie wygryzienia w niem dziury. A przecież płynęli w dół rzeki, wiedząc dobrze iż tam właśnie leży ich wio-

swą lekkomyślność, poczęli biedz teraz ku starożytnemu rodzinnemu domowi: znajdowali się w rodzinnej wiosce.

W chwilę później byli u nóg rodzicielskich, przeprasząc za swe błędy. Matka Szczurowska przyjęła ich łzami radości, ojciec chciał być surowym ale nie mógł i przycisnął także biedaków do stęsknionego serca.

Odtąd domowe szczęście i spokój zapanowały znowu w rodzinie Szczurowskich, gdyż najmłodsze jej latorośle nauczyły się je oceniać i szanować.



W chwilę później byli u nóg rodzicielskich przeprasając za swe błędy.

ska rodzinna. Serca drżały na tę myśl, a fale chyżo wciąż unosiły statek, a głód ścisnął coraz rozpaczliwiej żołądki. A wtem... zahuczało, zaszumiło i straszny potwór ukazał się na rzece, pędząc prosto na wątły statek, unoszący nieszczęsnych zbiegów:

— Ratujcie! — krzyknęli nieszczęśliwi, tuląc się pod pokład drewnianego trzewika w głąb najdalszą, ale nikt ich krzyków nie słyszał, zawarczało i statek parowy wpadł na trzewik a koło obrotowym ruchem zakręciwszy nim, pchnęło go kędyś w przepaść bezdenną.

Szczury pewne były że już zginęły, a przecież po jakimś czasie poczuły że żyją jeszcze, a nawet że statek ich spoczywa nieruchomy jakby na kotwicy, ale odwrócony do góry dnem tak, że głębokie zalegały go ciemności. Na raz drgnął, a potem silnemi rzutami wznosząc się i opadając odwrócił nareszcie zupełnie: to kaczka na rannęj przechadzce nad brzegiem Wisły, znalazłszy wyrzucony przez fale tajemniczy dla niej przedmiot, odwróciła go oglądając. Szczury nie wierząc własnym oczom, zwolna wychyliły się na zewnątrz... a potem krzyk radości wyrwał się z serc uciśnionych, i zbiegi ukarani za

Przygoda złośliwego Antosia.

Marcinek pasał świnki, niemiła to praca Świnka, brudne stworzenie, wśród błota się tarza, Wszystko zjada co spotka, w kałach się przewraca Wzrok nasz brzydkimi kształty i węch nasz obraża.

Antoś mały dzień cały tylko baki zbijał, Łapie muchy, chrabąszcze, do sadu się skrada, I od lekcji codziennie jak mógł się wywijał Próżniak był z niego wielki i figlarz nielada.

Chociaż jednak tak mało był wart ten Antoni Widocznie i boleśnie pogardzał Marcinkiem, Ile razy go ujrzy zaraz za nim goni Zwąc go żartem ze wzgardą brudnym pasi-świnkiem.

Biedny, biedny Marcinek, jak też płakał długo, Ile razy się spotkał wśród pola z paniczem!.. Lecz cóż, rady nie było, wszak był biednym sługą, Mógł więc słuchać i cierpieć, lecz zemścić się niczem.

Raz nasz Antoś kochany, a było to latem,
Uciekł z domu przed lekcją, zwykle to wybryki,
I w przepysznym humorze, wytrząskując batem,
Jadł strąki grochu, polne tratując koniki.

Wtem zdziwiony usłyszał jakieś liczne głosy
Podniósł głowę i patrzy, tuż, tuż przy nim blisko
Świnki też w grochu siedzą, a Marciniek bosy
Próżno pragnie szkodników zegnać na ściernisko.

— Hejże, maluśkie — woła, i batem je zgania
Zawracajta na ściernie i stare i młode
W grochu siedzieć nie wolno, gospodarz zabrania
Trzeba chyba być świnką, żeby wlażyć w szkodę.

Antoś widzi i słyszy, czyż ma wierzyć uchu?
Czoło zmarszczył, zczzerwieniał jakby od gorączki
— Jak ty śmiałeś — zawołał — tak mówić pastuchowi
Kiedy ja na tem polu także jadłem strączki?

— Panicz! — krzyknął udając zdziwienie Marciniek
I z uśmiechem szyderskim pokłonił się nisko,
Ta skądże wiedzieć mogłem, że wśród moich świnek,
Będzie czasem i panicz chodził na pastwisko?

Gabryela Jasieńska.

PRZYGODA W PODRÓŻY.

(Dokończenie).

Przy nim jego podwładna Marysia, pomywaczka,
w otoczeniu rondli; nic mu to nie psuło dobrego humo-
ru, że dwie pokojówki ukryte wśród stosu poduszek, za-
śmiewały się serdecznie z wielmożnego parzygnata.

Jasiek był wyższy ponad to wszystko i rzeczywiście
ulołował się najwyżej, nie ustępując ze stanowiska, po-
mimo że deszcz go trochę moczył w drodze i złośliwy
fornal kilka razy zrzucił mu beret, świsnąwszy czterokon-
nym batem; Jasiek z dumą opowiadał po przyjeździe, że
w każdej wsi pokazywano go palcami, wołając: kucharz
jedzie, kucharz jedzie.

Wprawdzie przekonaliśmy się później w Ciechocinku,
że do gotowania był tylko nędznym kuchcikiem, ale honor
jego na tem nie ucierpiał, gdyż musieliśmy jeść to, co
ugotował. W końcu i dla nas wybiła godzina odjazdu,
zajechały powozy, jeden zaprzężony czterema gniadem
końmi w szorach, miał wieść ciocię i nas i małą Kasię;
drugi ekwipaż z fernalskimi końmi, z ulubionym przez
paniczów Rokowskim, zabrał panny Bolesławę i Luizę
oraz trzech chłopców, którzy z tryumfującą miną rzucili
wyzwanie naszemu furmanowi, że choć to fernalka,
jednakże Rokowski pierwszy stanie u Wisły, gdzie mie-
liśmy się przeprawiać. Sawicki mruknął pod nosem, że
jego paradiery, to nie szkapy fernalskie i ruszył ostro
naprzód. Jadąc przez wieś, wychylałyśmy się ciągle
z powozu, aby chłopci, dzieci, a nawet gęsi i cieleńta wie-
działy że jedziemy do Ciechocinka.

Za miasteczkiem przypomina sobie ciocia, że zоста-
wiła jakąś arcyważną paczkę, a było to już o trzy wior-
sty od domu, rozkazuje więc fernalowi wrócić się po nią.

Trzeba było widzieć długie nosy chłopców, gdy zwrócili
się w przeciwną stronę; wyścig stracony, ich furman nie
będzie pierwszy. „Sawicki górą!” wołałyśmy za nimi.
Sawicki pewny pierwszeństwa, że lubi oszczędzać swoich
gniadoszów, wydostawszy się w las, jechał wolno po
piaskach, drogą troszkę nudną, ale dla nas wesołą bo
rozmawialiśmy o Ciechocinku, zresztą nie wypadało po-
kazywać znudzonych twarzy, dla przykładu najmłodszej,
Kazi.

— Cieszcie się dzieci — mówi dobra ciocia — już
tylko wiorsta do Wisły; tam przystaniemy, zanim nam
prom sprowadzą, i drugi powóz nadjedzie przez ten
czas.

— A to co? — zawołała, wskazując ręką cztero-
konny ekwipaż, śpiesznie wyjeżdżający przed nami z bo-
cznej gęstwiny.

— A to ten waryat Rokowski! — mruczy rozgnie-
wany Sawicki — gdzie on tę drogę wynalazł i lepsza
musi być i twardsza, bo nawet koni tak nie zgrzał jak ja.

Ciocia się śmieje, a my, aby nie dać chłopcom pra-
wa do tryumfu, zachowujemy pysznie obojętne miny.

Powozy zatrzymują się przed karczmą, na piasku,
o kilkadziesiąt kroków płynie Wisła szerokim korytem,
dalej widać miasteczko Nieszawę; przewoźnicy szykują
prom, gdy nagle niebo pokrywa się czarnymi chmurami,
grzmot huczy w oddali, wiatr się zrywa, syjąc takie tu-
many piasku, że niepodobna jest dłużej pozostać pod
odkrytem niebem.

— Chodźmy do karczmy — powiada Ciocia — mo-
że ta burza prędko przeleci.

Weszliśmy do izby, istna zbójcka nora jak nam to
nierzaz opowiadała stara Weberowa; ściany czarne, ni-
gdy nie bielone, okienka maleńkie, nie przepuszczające
światła, jakieś; kulawe stolki i twarde ławy dokoła.
W głębi, za szynkwasem oświetlonym jedyną łożową
świeczką, siedziała jak nam się wydało, matka zbójów,
stara wiedźma, kulawa; przy niej olbrzymi kot czarny
puszył się i parskał na przybyłych. Przy kominie wyso-
ka kobieta, brudna, rozczochrana, gotowała kolację za-
pewne dla całej zbójckiej bandy. Bosa dziewczyna
wbiegła pośpiesznie, zaczęła coś szeptać do gospdyni,
ręką wskazując przyległy alkierz. Kobieta niecierpli-
wie odpowiadała jej.

— Później! — Potem, patrząc uporczywie na nas,
dziewczyna certowała się chwilkę jeszcze, aż wzięwszy
duży nóż z nad komina, zniknęła w ciemnej sionce. Nie-
długo gdy stara wiedźma otworzyła drzwi do alkierza,
ujrzałyśmy znacznie czystszej izbę, zasłane dwa łóżka,
obrazy świętych, ale cóż, kiedy tam połyskiwały z dale-
ka mordercze narzędzia jak kosy i siekiery! a cóż dopie-
ro, gdy owa dziewczyna z nożem, która się tam niewie-
dzień zkąd znalazła, otworzyła klapę w podłodze i zeszła
na dół. Włosy nam stanęły na głowie.

— To tedy zapewne spuszczały trupy pomordowa-
nyc ofiar — zawyrokowałam trzęsąc się ze strachu.

A tu na dworze szaleje burza, deszcz spływa poto-
kiem, uderzając o maleńkie szybki, grzmot wstrząsa nę-
dznem domostwem, ani myśleć o wyjeździe, jesteśmy
skazani na zagładę.

Przytulone w najciemniejszym kącie izdebki, blade, drżące, spoglądały jedna na drugą, nie mogąc sobie wzajemnie dodać odwagi, wszystkie trzy słuchałyśmy nieraz z zajęciem owych baśni o zbójcach, w wyobraźni naszej ponura karczma jednakże wywołała wrażenie, z wyrzutem patrzyłyśmy w stronę ciotki, która najspokojniej rozmawiała z panną Luizą o niemiłym wypadku, co nas tu zatrzymał.

— Mój Boże! — szepcze Anielka — mama nie widzi, żeśmy wpadli w zbójckie ręce.

— Możeby można jeszcze uciec — odzywa się Zosia, która dotąd siedziała jak skamieniała.

— Gdzie? — pytam w rozpacz — za nami lasy pełne zbójów, na dworze nawałnica, świata nie widać! Zresztą już oni nas dobrze pilnują, kiedyśmy wpadli w pułapkę. I jakby na potwierdzenie słów moich weszło kilku mężczyzn, pewno opryszków! Każdy wychylał sporą miarkę wódki, klnąc na czem świat stoi niepogodę, zasiedli na przeciwniej stronie izby „aby mieć ofiary na oku” pomyślałyśmy w duchu. „Długie ich brody, kręcone wąsiska, wzrok dziki, suknie plugawe” tańcowało mi po głowie.

Postacie tych ludzi stwierdzały potrosze słowa poety, byli wszyscy dużego wzrostu, silnie zbudowani, twarze ich ogorzałe od wiatru i słońca, a potężne dłonie trzymały wiosła, które wzięłyśmy za pałki zbójckie.

— Zginęliśmy — szepnęła Zosia zdławionym głosem; ja z Anielką nie miałyśmy już siły przytwierdzić.

W drugim rogu izdebki Kazia spała na rękach panny Bolesławy, chłopcy w najlepszym humorze zajadali zapasy podróżne, i nas namawiali do tego, zaledwie zdołałyśmy wybaknąć:

— Dziękuję.

— Jacy oni dziecinni — z goryczą mówiła Anielka — nie przeczuwają niebezpieczeństwa.

Ciocia sądziła że to burza nas tak przeraża, zresztą w tym półcieniu trudno było dojrzeć nasze wystraszone twarze, a gdy jeszcze przewoźnicy zapalili fajki zrobiło się zupełnie ciemno, co widząc owa mniemana zbójcka gospodyni, zaproponowała abyśmy wszyscy przeszli do sąsiedniej izby, utrzymując że tam czystiej i wygodniej. Ciocia powstała, aby się tam udać, nie widząc naszych rozpaczliwych gestów, gdy na szczęście weszli furmani oznajmić, że deszcz ustał, niebo się wyjaśniło i choć zapadła już noc, przewoźnicy decydują się nas przewieźć; już powozy wtaczają na prom.

Jak znaleźliśmy się na promie, wpakowane do jednego powozu, nic nie wiem. Dopiero odetchnęłyśmy swobodnie, gdy przebywszy Wisłę, ruszyliśmy prosto znowu do Ciechocinka.

— Jednakże kochana ciociu — odzywa się Bolesława, który słuchał całego opowiadania z pilną uwagą — to wszystko przerażająco wyglądało.

— Dla wyobraźni rozbudzonej na ten temat, przynajmniej, ale dla dziecka, spokojnie patrzącego na rzecz całą, była to biedna nędzna karczma; matka zbójców, zwyczajna stara kobieta, nieurodziwa; podobnie jak i ta która przy kominiarce gotowała wieczerzę, a dziewczyna pewnie, z nożem weszła do piwnicy żeby tam ukroić kawa

łek słoniny do kartofli. Przewoźnicy przyszli napić się wódki i uchronić się od deszczu: ot i wszystko! rozważając to później logicznie z kuzynkami, sameśmy sobie przyznały nadmiar wybujałej wyobraźni, która zrodziła nasze śmieszne obawy.

Marya z Grabowa.

SZARADA.

Gołąbce pocztowej od Wiedni z żywoplotu.

Pierwsze wśród liter się znajduje

Drugie — ogród opasuje,

Wszystko — rzeka co płynie

W syberyjskiej krainie.

ŁAMIGŁÓWKA GŁOSKOWA.

Od Legendy dla Złotej rybki i Rumianego jabłuszka.

Z rozrzuconych liter ułożyć znane przysłowie.

A a b e
d d d e
i n n o
o o s s
u w z z

ROZWIĄZANIA DO N-ru 20-go.

Zagadki rebusowej:

Nie Men Niemen.

Łamigłówki kryształowej:

W
T Ł O
D I A N A
C H O D Ź K O
W Ł A D Y S Ł A W
P O T S D A M
P O Ł Ó W
T A K
W

Skrzynka do listów.

Ułanko droga, nigdy „nie nudzą” nas odezwy miłych naszych korespondentek. Na żądanie twoje załączamy tu przepis zasuszania kwiatów, który przyda się może i innym. Wymyć, wysuszyć i przez średniej gęstości sito przesiać piasek; następnie raz jeszcze go wymyć, wysuszyć i przesiać przez sito gęściejsze; tak przysposobionego piasku nasypać w pudełeczko warstwą tak grubą, jak wysoką jest łodyga kwiatu przeznaczonego do zasuszenia; poczem, wetknąć kwiat w piasek, ostrożnie i powoli pótł sypać piasek na koronę, aż się cała pod nim schowa. Pudełko z tak zasypianym kwiatem trzymać dni parę na słońcu, poczem piasek wysypać, naj-

lepiej przez dziurki w tym celu w dniu pudełka porobione. Kwiaty bardzo delikatne zlekka tylko przysypane być powinny; kwiaty o grubych, mięsistych płatkach potrzebują grubszej nad sobą warstwy piasku i dłużej schnąć powinny. Rebusy umieszczamy bardzo rzadko i dobre. Wiersze Janka sieroty nie były jeszcze nigdzie drukowane.

Legenda znajdzie odpowiedź na swoje pytanie w *Wieczorach* przed otrzymaniem naszego listu.

Rycerzu błękitny, teraz już na „kolej” poczekać musisz!

Lilianne, Czarynę i Jaskółkę z Rusi serdecznie pozdrawiamy w gronie korespondentek. Liściki przyjmujemy, uprzedzając, że z powodu wiecznie zalegającej ich ilości, czekać one muszą z drukowaniem swojej kolei.

Promyczku ze Wspólnéj i ty o „kolei” przeczytaj! Szarada nieźle ułożona; nie zamieścimy jej jednak z powodu, wyrażonych w niej myśli, którym odmawiamy słuszności. Ludzie dojrzały których wiek uczynił zgryźliwymi, mogą się z czemś podobnem odezwać, ale wy? Przypomnieć się wam godzi: „Młodości! ty nad poziomą wylatuj”...

Biedna **Różyczko biała**, jak też zbieleć musiałaś z powodu choroby! Słówka serdecznego nie skąpimy nigdy, liścik twój musiał uleść jakiemuś wypadkowi.

Marylce N. Otrzymały nagrody z ostatniego konkursu: Oleńka ze Zmudzi, Złota Przędza, Grażyna, Topolka srebrna, Wesoła Krakowianka, Gwiazdka z Podola, Tęcza z nad Jatrani, Janosik z nad Bugu, Goryczka, Ludwis z Zabłotni, Mysza domowa, Rybka z Hniłopiaty, Śmieszka, Warszawska Biedronka, Błędny Ognik, Wiedenka z żywopłotu, Jaskółka z nad Ussy, Orso, Oleńka z pod Ojcowa, Adzio z Rzucowa Góralka, Odważny Pływak, Sasanka Sosenka i Zorza północna, reszta zaś wymienionych pseudonymów należy do tych, którzy zasłużyli na zaszczytną wzmiankę.

Kochana Czaplo z nad Pohanki. Cóż, podoba ci się mój nowy pseudonym? Chyba już mnie teraz za chłopca nie wezmą w redakcyi?! I mnie bardzo się podoba „Szesnastoletni wojewoda”. Ż prawdziwego bogactwa moją przyjaciółką jest Tosia, a ty którą z tych dziewczynek najwięcej lubisz? Nie zazdroszczę ci przerwy w nauce, to bardzo niemiłe, bo się wiele zapomina. I. K. kazała cię ucałować, zawsze cię bardzo kocha. Koteczka czarna oczekuje niecierpliwie odpowiedzi i ja również twoja *Srebrna Strzała*.

Droga Staszko z Podola! Czy czarodziejką jesteś, że cię pokochałam tak serdecznie? i choć młodsza, ale już także staruszka piszę do ciebie, uraduj mnie odpisem! Na imię mi Marya, jestem wysoką blondynką, mieszkam nad Wartą w małym miasteczku, mającym prześliczne położenie. Ja bardzo chciałabym cię poznać. Czy to nastąpi kiedy? Takbym rada gawędziła z tobą dłużej; ale niema na to dość miejsca w *Wieczorach*; kończę więc serdecznym uściskiem i życzeniem na przyszłość szczęścia, szczęścia i szczęścia!! Nieznana *Wróżbiarka szczęścia*.

Drogi moje: Cyganeczko z nad Wisły, Wisienko z nad Sobu i Noty księżycowa! Podobają mi się wasze pseudonimy, chciałabym z wami korespondować i wiedzieć, gdzie mieszkacie, jak się nazywacie i czy macie rodzeństwo? Bo ja jestem jedynaczką, szatynką z piwnymi oczami, mam rok jedenasty, uczę się w domu, na imię mi Mania. Odpiszcie mi jak najprędzej, wasza *Dumka z nad Sobu*.

Kochana Blondynko podolska! Niedawno czytuje „Wieczory” i bardzo bym chciała korespondować z panienkami; od ciebie zaczynam, miła Blondyneczko, gdyż z liściku twego do Wesołej Krakowianki, wiem, że mieszkasz w Pruszkowie, ja zaś w Łatyczowie, a więc to bardzo blisko; może się kiedyś zobaczymy. Napisz mi jak wyglądasz, ile masz lat, czy się uczysz, i czy lubisz muzykę? bo ja bardzo. O sobie cośkolwiek więcej doniosę ci innym razem, bo i tak liścik za długi. Całuję cię serdecznie, *Niezapominajka z Zacisza*.

Droga Westalko! Pseudonym twój jest zachwycający, wno-

szę więc, że osoba musi mu odpowiadać. Odpowiedz mi proszę, ścisza cię po niezliczone razy: *Srebrna Lilija*.

Drogi moje: Cyganeczko z nad Wisły, Topolko z nad Kode-my i Ako! O moja złota Cyganeczko, jak możesz myśleć, że o tobie zapomnieliśmy? Pisałam niedawno siostrzyczko i może już list ten czytałaś obecnie. Nie przestawajmy pisywać, zanim się poznamy kiedyś. Siostrzyczko moja Topolko oddawna czuję do ciebie sympatyę, czy chcesz donieść mi co o sobie? Ako droga wiem jak to nieprzyjemnie liścików nie otrzymywać, a ponieważ żadna z siostrzyczek nie odpowiedziała na twą odezwę, piszę zapytując czy nie chcesz ze mną korespondować? Czy zgoda? Ścisam was wszystkie moje mile. *Topolka srebrna*.

Czy otrzymałaś mój liścik Westalko?

Kochane: Wesoła Krakowianko, Blondynko podolska i Poranku majowy! Od was trzech, kochane siostrzyczki odebrałam listy w jednym numerze, razem wam też odpisuję. Ciebie droga Krakowianko bardzo pokochałam, proszę cię donieść mi co więcej o sobie. Całuję cię serdecznie wraz z kuzynką. Blondynko podolska coż więcej napisać ci mogę o sobie nad to co wiesz już z moich liścików. Donieść mi czy naprawdę jesteś blondynką? Poranku majowy, chętnie zostanę twoją przyjaciółką, gdyż przyjaźń cenię nadewszystko. A teraz ścisam was wszystkie, *Wesoła Krakowianka*.

Drogi panienki! Do *Wieczorów* pisuję od Nowego Roku, ale żadna z was jeszcze nie napisała do mnie. Piszę więc do wszystkich, prosząc o napisanie do mnie liściku. Nie znam osobiście żadnej z was, lecz wszystkie kocham jako siostrzyczki. Mam lat 12, na imię mi Jadzia, mieszkam w Warszawie. Bądźcie łaskawe pisać do mnie liściki, na które chętnie odpowiadać będę. A teraz polecam się życzliwości waszej, nieznana, lecz już całem sercem kochająca was siostrzyczka, *Pomarańczarka rzymska*.

Drogi: Niezabudko czeska, Trusiu i Cyganeczko z nad Wisły! Trafnie odgadłaś nazwisko moje, Niezabudko, domysłna z ciebie widać osobka; czy chcesz korespondować ze mną? Trusiu zaciekałaś mnie; czy nie zwałaś się dawniej „Bera słucka”? Cyganeczko moja luba, nie wątp nigdy o mojej przyjaźni, tyś najstarsza i najmilsza dla mnie z korespondentek. Ach, gdyby to poznać można było ciebie i Westalkę? Rozumiałybyśmy się tak dobrze! Ścisam was siostrzyczki, *Sarenka z nad Moroccu*.

Droga moja Halko z Litwy! Serdecznie ci jestem wdzięczna za twą odpowiedź. Proszę cię pisuj dalej do mnie. Czytając dawną Skrzynkę do listów, dowiedziałem się że mieszkasz w Radziwiłszkach, które znam dobrze mieszkając w pobliżu. Czy znasz państwa Cz., którzy mają synów Witolda i Antosia? Ścisam cię serdecznie, twoja *Biała Otcha*.

Prenumeratory *Wieczorów R.* nabywać mogą za pośrednictwem redakcyi następujące książki po zniżonej cenie. Anczyc. Biblioteka dla młodzieży:

Hoffmana. Bóg nie opuści.
„ „ Czas to pieniądź.
„ „ Kręte drogi.
„ „ Pierwszy błąd.
Heninga. Gabor Hunyad Berengi.
„ „ Dwie róże.

Broszurowane po kop. 40 zniżone 20. Kartonowane po kop. 50 zniżone 25 kop.

Leja. Fantazja i prawda karton. rs. 1, zniżone kop. 50.
Macé. Powiastki karton. rs. 1, zniż. kop. 50.
Mayne Reid. Przygody myśliwskie kart. rs. 1 k. 20, zniż. k. 60.
Sekrecik białego dworku karton. rs. 1 kop. 20, zniżone kop. 60.
Tissandier. Męczennicy w imię nauki karton. rs. 2, zniżone rs. 1.
Piast. O zmroku karton. rs. 1, zniżone kop. 50.
Przyborowski. Baśnie ludowe karton. rs. 1 k. 50, zniż. kop. 75.